

AGNÈS GABRIEL

Merci, monsieur  
**DIOR**

PRZEŁOŻYŁA ANNA KIEREJEWSKA

MARGINESY

Agnés Gabriel: *Merci, Monsieur Dior*

COPYRIGHT © Aufbau Verlag GmbH & Co. KG, Berlin

Published with Aufbau Taschenbuch;

„Aufbau Taschenbuch“ is a trademark of Aufbau Verlag GmbH & Co. KG

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Anna Kierejewska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

Warszawa 2022

Dla kobiet, które dodają mi odwagi

Dama nie ubiera się w stroje.  
Ona pozwala strojom na to, żeby ją ubierały.

Yves Saint Laurent (1936–2008)

## PROLOG

Ponad miastem rozciągało się błękitne letnie niebo. Poprosiła taksówkarza, żeby pojechał dłuższą drogą. Z dworca Saint-Lazare ruszyli więc na południe, w kierunku Sekwany. Gdy zatrzymali się na skrzyżowaniu, opuściła szybę za pomocą korbki. Usłyszała terkotanie uszkodzonej rury wydechowej, wycie samochodowych silników, gwizdek stojącego na podeście policjanta kierującego ruchem, przenikliwe trąbienie kierowcy autobusu, pokrzykiwania gazeciarza stojącego na rogu ulicy. Były to dźwięki, które brzmiały dla niej jak muzyka i za którymi tęskniła. Dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo.

Gdy ruszyli dalej, dostrzegła na trotuarze młodą, elegancko ubraną kobietę wspinającą się po drabinie i z gracją przytrzymującą rondo kapelusza. Wokół niej krzątał się niemal tuzin mężczyzn z aparatami fotograficznymi i lampami. Pomyślała, że bez wątpienia wróciła do miasta mody. Przed knajpkami z nisko zawieszonymi markizami, przy okrągłych marmurowych stolikach siedzieli i rozmawiali ludzie, sącząc kawę albo wino. To właśnie tam nawiązywano kontakty, zdradzano sekrety i robiono interesy.

Taksówka jechała przez boulevard Haussmann, jedną z najelegantszych ulic handlowych w Paryżu. Cena sukienki codziennej wynosiła tam tyle, ile roczny zarobek nauczyciela, a za haftowaną chusteczkę należało zapłacić sumę odpowiadającą miesięcznej pensji modystki. Przechodnie spacerowali wzdłuż przepięknie udekorowanych witryn albo wychodzili z przybytków mody i urody,

trzymając pełne po brzegi torby. Poruszali się z wdziękiem, jakby w rytm skocznej melodii, którą słyszeli we własnych głowach.

Samochód minął plac de la Madeleine, na którym stał kościół z fasadą przypominającą antyczną świątynię, i wjechał w rue Royale. Kobieta spojrzała na budynek w kolorze piaskowca i uśmiechnęła się na wspomnienie pierwszych tygodni spędzonych w tym mieście, gdy jeszcze nie przypuszczała, co los jej przyniesie.

Przy placu de la Concorde kierowca skręcił w prawo, w stronę parku Cours-la-Reine. Po promenadzie, ciągnącej się wzdłuż brzegu rzeki, pod wysokimi lipami, trzymając się za ręce, przechadzały się pary zakochanych. Starsze panie wyprowadzały psy, w jednej dłoni trzymając smycz, w drugiej – rozłożony parasol chroniący przed silnym słońcem. Mężczyźni w wymiętoszonych materiałowych kapeluszach moczyli wędkę w leniwie płynącej Sekwanie. W oddali rysował się stalowy szkielet wieży Eiffla, na której widok jej serce zawsze biło mocniej.

Kierowca minął ogrody Trocadéro, zjechał z promenady i udał się w kierunku avenue Henri Martin. Nagle pasażerka poleciła mężczyźnie się zatrzymać; wręczyła mu banknot i chwyciła walizkę. Ostatni odcinek drogi chciała przejść pieszo. Sama. We własnym tempie.

Niespiesznym krokiem przechodziła pod potężnymi kasztanowcami, mijała wysokie domy z delikatnie łukowatymi wykuszami i misternymi żeliwnymi balkonami, obrośnięte przez róże pnące. Na jednym z parapetów leżał kot i leniwie spoglądał w słońce.

Gdy dotarła na boulevard Jules Sandeau, przyspieszyła kroku. Szła wzdłuż ulicy tak prędko, jak tylko potrafiła, nie czując ciężaru walizki ani wyboistego chodnika pod stopami. Ledwie łapiąc oddech, zatrzymała się przed budynkiem z numerem siedem i zaczęła szukać kluczy.

Gdy tylko otworzyła drzwi, otulił ją znajomy zapach bergamotki, jaśminu i drzewa sandałowego. Zamknęła oczy, wzięła głęboki wdech i już wiedziała, że wróciła do domu.

CZĘŚĆ 1

# Wyprawa

Célestine wzięła kęs wilgotnego ciasta migdałowego, które ciotka dała jej do przekąszenia w podróży pociągiem. Madeleine Dufour z trudem przyszło wypuszczenie spod skrzydeł jedynej bratanicy. Niemniej po tym wszystkim, co się wydarzyło, rozumiała decyzję Célestine. W przeciwieństwie do małżonka Madeleine, Gustave'a, który do ostatniej chwili próbował odwieść bratanicę od decyzji.

– Jesteś Normandką, Célestine, twoje miejsce jest tutaj, na wybrzeżu. Żadna porządna dziewczyna nie wyprowadza się w pojedynkę do tej jaskini grzechu zwanej Paryżem! To cię pociągnie na samo dno! – snuł przepowiednie.

Mimo to Célestine wyruszyła na spotkanie pierwszej wielkiej przygody jej życia. Błądząc gdzieś myślami, wyglądała z okna wagonu i przypatrywała się późnojesiennemu krajobrazowi, rozległym polom i sadom. W oddali pojawiały się pojedyncze gospodarstwa. Przebyła już ponad połowę drogi, za dwie godziny miała dotrzeć do celu.

Z kieszeni płaszcza wyciągnęła list i dłonią wygładziła zszarzały papier. Ileż to razy już czytała słowa Marie, przyjaciółki ze szkolnych czasów? Ostatni raz widziały się dwa i pół roku wcześniej, jeszcze zanim Marie wraz z rodziną przeprowadziła się ponad sto kilometrów do południowo-wschodniej części Normandii.



*Paryż, 27 października 1946 roku*

*Moja droga Célestine!*

*Jakże chętnie przyjechałabym na Twój ślub! Niestety za późno otrzymałam Twoje zaproszenie i już nie zdołałam zorganizować podróży.*

*Twoje rude włosy sprawiały, że zawsze byłaś najbardziej rzucającą się w oczy postacią w naszej klasie. Nic więc dziwnego, że jako pierwsza wyszłaś za mąż, i to na dodatek w Twoje dwudzieste pierwsze urodziny. Napisałaś, że pewnego dnia Twój mąż odziedziczył sad z jabłoniąmi. Na pewno jesteś bardzo szczęśliwa.*

*Mam dla Ciebie niesamowite wieści. Pożegnałam się z Aubigny, nową wioską rodzinną, i wyjechałam do Paryża. Właśnie dlatego list do Ciebie nie dotarł do mnie na czas. Pewnie sobie wyobrażasz, jak wiele kłótni stoczyłam z rodzicami. Niemniej postanowiłam wyjechać. Każdego ranka budzę się pełna ekscytacji w mojej mansardzie na poddaszu i zastanawiam się, jakie niespodzianki przyniesie mi dzień.*

*Paryżanie wykorzystują każdą okazję, żeby delektować się życiem. Gdy pogoda dopisuje, w ciągu dnia przesiadują w kawiarenkach przy Polach Elizejskich i sączą wino. Wieczorami tłumnie odwiedzają restauracje, wystawy sztuki i chodzą na przedstawienia teatralne albo wybierają się na bale. Zupełnie jakby chcieli nadrobić wszystko to, co przez tyle lat uniemożliwiała im ta przeklęta wojna.*

*Koniecznie musisz mnie odwiedzić, Célestine! Twój Albert na pewno nie będzie miał nic przeciwko. Wspólnie zwiedzimy miasto, w którym jest tyle do zobaczenia. Najpierw pojedziemy windą na wieżę Eiffla i przyjrzymy się Paryżowi z góry. Potem wybierzemy się na rejs statkiem po Sekwanie. Napijemy się gorącej czekolady w jednej z kawiarni. Jestem przekonana, że pokochasz Paryż.*

*Muszę już kończyć. Pracuję jako kelnerka w pewnej knajpce oddalonej kilka minut drogi od mojego mieszkania i niebawem zaczyna się moja zmiana. Wczoraj jeden z gości – przystojny młody mężczyzna – zaprosił mnie na piwo. Może dziś znów przyjdzie...*

*Ściskam Cię i mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy!*

*Je t'embrasse*

*Twoja Marie*

Célestine głęboko westchnęła, złożyła list i wsunęła go z powrotem do kieszeni płaszcza. Marie nie miała o niczym pojęcia... Ale skąd miałyby wiedzieć cokolwiek o ostatnich wydarzeniach, pisząc te słowa?

W głowie Célestine znów pojawiły się bolesne obrazy, które od wielu dni prześladowały ją nawet w snach. Widziała w nich młodą kobietę stojącą w pochmurny wrześnieowy poranek przed urzędem stanu cywilnego w Genêts, w sukni ślubnej, którą własnoręcznie uszyła ze starych firanek. Czekala na matkę, gdyż ta, wychodząc z domu, zaczepiła brzegiem sukienki o zadnę w futrynie drzwi i chciała szybko zacerować dziurę, zanim zjawi się w urzędzie. Gdy młoda kobieta pobiegła do domu, żeby pospieszyć matkę, ta leżała na wznak na podłodze sypialni, spojrzenie miała nieruchome. Nieboszczką była Laurianne Dufour, ukochana matka, młodą kobietą w sukni ślubnej – ona sama.

Célestine, szlochając, wyciągnęła chusteczkę z rękawa, otarła łzy z kącików oczu i wróciła myślami do teraźniejszości. W końcu była w drodze do Paryża i miała pozostawić za sobą przeszłość, dzieciństwo i młodość, oraz niespodziewaną śmierć matki. A także Alberta, mężczyznę, co do którego tak bardzo się pomyliła... Konduktor przechodził od wagonu do wagonu i informował o końcu podróży.

– Następna stacja: dworzec Montparnasse. Wszyscy pasażerowie, proszę wysiadać!

Gdy postawiła pierwsze kroki na paryskiej ziemi, trochę zakreśliło jej się w głowie, a do uszu dobiegał przenikliwy świst przyjeżdżających i odjeżdżających pociągów z sąsiednich peronów. Z kominów potężnych czarnych lokomotyw buchały kłęby pary i wznosiły się ku pochmurnemu jesiennemu niebu. Niestłuchane mrowie ludzi w pośpiechu przemieszczało się po peronie we wszystkich kierunkach. Raz ktoś uderzył Célestine walizką w kolano, to znów trącił łokciem w żebra.

Tłum wywołał w niej strach, więc schroniła się pod jednym z żelaznych filarów. Stała na palcach i wyciągnęła szyję. Jak pośród tego kłębowiska miała dostrzec Marie? Przyjaciółka wysłała jej telegram, że odbierze ją z dworca. Célestine niecierpliwie odczekała kwadrans, czując, jak oblewa się potem, na szczęście udało jej się stłumić niepokój. Może Marie musiała zastąpić chorą koleżankę i nie zdołała na czas wyjść z pracy?

Sama trafię na miejsce, powiedziała w duchu Célestine, dodając sobie odwagi. Przeszła przez halę dworca, która była wyższa niż wieże wszystkich kościołów, jakie dotąd odwiedziła. Tam także panował straszny tłok. Wszędzie słyszała obce języki, widziała ludzi o czarnym, brązowym i żółtym kolorze skóry, zupełnie jakby cały świat spotkał się właśnie w tym miejscu. Gazeciarze ubrani w staromodne pumpy i solidne skórzane buty nosili pod pachą sterty gazet i donośnie wykrzykiwali ich nagłówki. Jakiś sprzedawca z kramem zawieszonym na szyi oferował błyszczące, złotożółte brioski. Z jednej z knajpek wydobywały się dźwięki akordeonu oraz kuszący zapach kawy mogący pochodzić jedynie z prawdziwych ziaren. A te w czasach racjonowania żywności były towarem deficytowym.

Célestine, oszołomiona mnogością doznań, zatrzymała się i wzięła głęboki wdech. Po okalających dworzec ulicach, wzdłuż których wznosiły się wielopiętrowe domy w kolorze piaskowca, miały się auta, motory i rowery. Każdy kierowca – dając znać klak-

sonem albo dzwonkiem – próbował wymusić pierwszeństwo na pozostałych. Célestine nie przypuszczała, że w stolicy panować będzie taki chaos i gwar. Ostrożnie stanęła na krawężniku i zawahała się. Jak miała bez szwanku przejść na drugą stronę ulicy, skoro ruch był tak duży?

Dwóch chłopców odważnie weszło na jezdnię, a wtedy jedno z aut zahamowało z piskiem opon. Tamci przemknęli pomiędzy przeróżnymi dwu- oraz czterokołowymi pojazdami i dotarli na drugą stronę ulicy. Ze śmiechem pomachali do Célestine, zachęcając, żeby poszła za ich przykładem.

Stała jak wryta i nie miała odwagi zrobić choćby jednego kroku do przodu. Oczyma wyobraźni widziała, jak zostaje potrącona przez jeden z samochodów i leży na asfalcie; była bliska płaczu. Dlaczego w takim pośpiechu opuściła rodzinne miasteczko, i to wyłącznie z jedną walizką, do której spakowała zaledwie kilka sukienek, bieliznę, świadectwo pracy oraz trzy książki ulubionej pisarki Germaine Mercier? Nagle wydało jej się, że słyszy słowa wuja, który z uporem przestrzegał ją przed zagrożeniami wielkiego miasta.

Tuż przed nią zatrzymał się samochód. Kierowca opuścił szybę i Célestine spojrzała w przyjazną twarz mężczyzny w średnim wieku, w okularach z cienkimi metalowymi oprawkami i kaszkiecie w kratę.

– Mademoiselle, potrzebuje pani taksówki?

Z ulgą skinęła do swojego wybawcy, ale nagle ogarnęły ją wątpliwości. Czy powinna zaufać całkowicie obcemu mężczyźnie? Po chwili jednak zebrała się na odwagę; wsiadła do taksówki i podała adres Marie, która mieszkała w dzielnicy Montmartre.

Podczas gdy kierowca manewrował po zatłoczonych ulicach, Célestine z mocno bijącym sercem spoglądała z tylnego siedzenia na miasto. Przypatrywała się zadrzewionym bulwarom oraz spacerującym ludziom, okazałym hotelom z opuszczonymi markizami,

pod którymi odziani w liberie portierzy witali gości. Widziała kolejne place z pomnikami na wysokich kamiennych postumentach i tryskające wodą fontanny. Kobiety wprawdzie nadal jeszcze chodziły ubrane w praktyczne taliowane sukienki, często wykonane z wojskowych prochowców, ale poza tym w wyglądzie tego wspańskiego miasta niewiele już wskazywało na to, że jeszcze dwa lata wcześniej w Paryżu toczyła się wojna.

Célestine przebiegł dreszcz na wspomnienie sierpnia czterdziestego czwartego roku, kiedy wraz z rodziną z zapartym tchem siedziała przy radioodbiorniku i słuchała zakazanej francuskiej audycji w BBC. Na rozkaz Hitlera Paryż miał zostać zrównany z ziemią. W tym celu na wszystkich ważnych mostach i dużych budynkach administracyjnych w centrum miasta umieszczono materiały wybuchowe – jednak te informacje upubliczniono dopiero po fakcie. Francuzi nadal jeszcze za cud uznawali to, że po kapitulacji Niemiec stolica pozostała niemal niezniszczona.

Kiedy Célestine wchodziła do domu z numerem cztery mieszczącego się przy rue Capron, nieopodal placu de Clichy, uderzył ją zapach smażonej cebuli. Ściany lichy oświetlonej klatki schodowej były pokryte plamami. Marie pisała w liście o niewielkim mieszkaniu na poddaszu, więc Célestine weszła po rozchwierutanych, skrzypiących drewnianych stopniach aż na czwarte piętro. Na mośięnej tabliczce na drzwiach znajdował się napis „M. Tourenne”. Kamień spadł jej z serca. Odłożyła walizkę i nacisnęła dzwonek, ale z wewnątrz nie dochodził żaden dźwięk. Zadzwoiła po raz drugi, a potem jeszcze trzeci i przyłożyła ucho do drzwi. Cisza jak makiem zasiał.

Gdzie się podziewała Marie? Nie przysłała na dworzec, mimo że się umawiały. W domu też jej nie było... Célestine wzięła głęboki wdech. Czy pierwszą noc w obcym mieście będzie musiała spędzić sama w jakimś pensjonacie? Na samą myśl o tym, ile ją to będzie kosztowało, zrobiło się jej niedobrze. Nagle usłyszała kroki na scho-

dach. Wychyliła się przez balustradę i zobaczyła wspinającą się na górę pulchną kobiecą postać w ciemnoszarym płaszczu i czerwonej wełnianej chuście owiniętej wokół głowy.

– Célestine, czy to ty? – Znała ten głos! Odetchnąwszy z ulgą, rzuciła się Marie w ramiona i poczuła zapach ciężkich słodkawych perfum. Kiedy mocno przytuliła przyjaciółkę, wrócił jej dobry nastój. – Witaj w Paryżu, Célestine. Ojej, jesteś jeszcze chudsza niż wtedy, kiedy widziałyśmy się po raz ostatni. Jak to możliwe, że tak szybko dojechałaś? Spodziewałam się ciebie dopiero jutro.

Célestine wypuściła Marie z ramion i ze zdziwieniem pokręciła głową.

– Przyjeżdżam we środę trzynastego listopada, godzina szesnasta. Tak napisałam ci w telegramie.

– Naprawdę? Coś musiało mi się pomylić... – Marie otworzyła drzwi i zapaliła światło. – Przepraszam, ale jeszcze nie zdążyłam posprzątać.

Maluteńkie mieszkanie składało się z jednego pomieszczenia. Po lewej stronie Célestine zauważyła niepościelone łóżko oraz ciemną wysoką szafę z owalnym lustrem na drzwiach. Pod niewielkim oknem mansardy stał marmurowy stolik, a przy nim dwa czarne lakierowane krzesła. Przy ścianie po prawej stronie znajdowała się kuchenka podobna do tej, która stała w rodzinnym domu Célestine w Genêts, a obok zlewozmywak oraz kredens z wypaczonymi drzwiczkami. Marie schyliła się i szybko podniosła z podłogi pończochy, gorset i koszulkę.

– Toaleta i umywalka są na dole, na półpiętrze. Możesz się tam odświeżyć, a ja w międzyczasie napalę w piecu i zrobię nam coś do jedzenia. Na pewno jesteś głodna po długiej podróży.

Chwilę później przyjaciółki siedziały przy paru kromkach chleba, kawałku sera i piły świeżo zaparzoną herbatę ziołową. Marie spoglądała w milczeniu na Célestine, marszcząc czoło, ale w końcu odważyła się zadać trapiące ją pytanie.

– Widzę, że jesteś ubrana na czarno, Célestine... Czy ktoś z twojej rodziny zmarł?

Po chwili w oczach Célestine stanęły łzy i popłynęły z ogromną siłą. Nie mogła przestać płakać, bo już tak długo się powstrzymywała przez wzgląd na ciotkę i wuja.

– *Maman...* Zmarła w dniu moich urodzin, który miał także być dniem mojego ślubu... – powiedziała, szlochając.

Marie przysunęła się do niej, wzięła ją w ramiona i pogładziła po włosach.

– Biedactwo, nie miałam pojęcia... Pozwól łzom płynąć. Dobrze rozumiem twój ból.

Célestine oparła głowę na ramieniu Marie i szlochała tak długo, aż całkiem osuszyła oczy.

– Twój mąż na pewno wspiera cię w tym trudnym czasie, czyż nie? – dopytywała Marie.

Célestine ciężko westchnęła.

– O Albercie opowiem ci jutro. Jestem straszliwie zmęczona. – Kilka razy ziewnęła i chwyciła za brzeg stołu, żeby nie spaść z krzesła.

Marie wstała, wyjęła z szafy prześcieradło oraz poduszkę i przetrzepała pierze. Gdy niedługo później Célestine leżała na wąskim łóżku, miała wrażenie, jakby jej ciało było ciężkie niczym z ołowiu. Trafiła do Paryża i nie była sama. Serdeczność i zrozumienie Marie dodawały jej otuchy i wiary. Następnego dnia miało rozpocząć się jej nowe życie.

Nozdrza Célestine owionęła kusząca woń świeżo zaparzonej mięty. Mrugając ospale, wysunęła głowę spod kołdry i zobaczyła Marie. Przyjaciółka była już ubrana do wyjścia; stała przy kuchence, odcedzała liście i nalewała napar do dwóch filiżanek.

– Dzień dobry. Ty już na nogach? Która jest godzina? – Zasnęła Célestine podniosła się i przetarła oczy.

– Dochodzi dziesiąta.

– Jest już tak późno? Powinnaś była mnie obudzić.

– Sama wstałam kilka minut temu, mam dziś popołudniową zmianę. Nie ma nic piękniejszego niż po przebudzeniu podrzemac jeszcze chwilkę w łóżku. Lubisz napar z mięty, prawda? Niestety nie mogę ci zaproponować kawy. Tydzień temu wymieniłam talon na kawę na flakonik perfum. Cóż, zarobki kelnerki nie wystarczają na luksusowe życie.

– Herbata w zupełności mi wystarczy.

Célestine w pośpiechu wygramoliła się z łóżka, wsunęła stopy w pantofle i nałożyła należący do Marie niebieski szlafrok w jasnoczerwone maki. Najciszej jak tylko potrafiła, udała się po schodkach do łazienki z nadzieją, że żaden z lokatorów nie zobaczy jej w tym stroju i z nieuczesanymi włosami. Przez wąskie okienko do wnętrza obskurnego przybytku wpadało zimne powietrze. Smród ekskrementów i zgniłych jaj przyprawiał ją o mdłości. Tamtego ranka musiała jej wystarczyć pobieźna toaleta, zwłaszcza że z zardze-



wiałego kranu do poźółklej umywalki leciała jedynie wąska strużka wody.

Tymczasem Marie wsypała ciastka migdałowe do miseczki i napaliła w piecyku, a mieszkanko na poddaszu wypełniło się błogim ciepłem.

Po kilku łykach mięty Célestine poczuła się bardziej rześko.

– Uwielbiam wszystko, co słodkie – powiedziała Marie, wsuwając do ust całe ciastko. – Czasami goście zamiast napiwku dają mi papierosy. Wymieniam je później na czekoladę albo inne słodycze. Nie lubię tytoniu. Czy ty wiesz, co na czarnym rynku można dostać za paczkę papierosów? – zapytała, nie oczekując odpowiedzi. – No ale umieram z ciekawości. Co z Albertem?

Célestine obojętnie wzruszyła ramionami.

– Rozstałam się z nim.

Marie rozdziawiła usta i wlepiała w nią wzrok.

– Co zrobiłaś? Ale... Przecież dopiero co się pobraliście.

– Nie, na szczęście do tego nie doszło. *Maman* zmarła na godzinę przed zaślubinami. Ogromnie nas to wszystkich zaskoczyło, była przecież zdrowa jak ryba.

– To straszne! Ale co masz na myśli, mówiąc „na szczęście”? Przecież w liście opowiadałaś mi o narzeczonym z takim zachwytem. Przecież był przystojny, miał ciemne włosy, stalowoniebieskie oczy...

– A jakie znaczenie ma wygląd! Kilka dni po śmierci *maman* Albert chciał ponownie zorganizować ceremonię. Gdy powiedziałam mu, że potrzebuję czasu na żałobę i nie w głowie mi radosne świętowanie, nazwał mnie sentymentalnym głuptasem. Pod jego wpływem zrezygnowałam z pracy w urzędzie gminy. Twierdził, że mam poświęcić mój czas wyłącznie jemu. – Célestine z pogardą zacisnęła usta i rozkruszyła w dłoni ciastko migdałowe. – Albert chciał mi narzucić, w co mam się ubierać, jak mówić i z kim przestawać. Ciągłe mówił o tym, jak w przyszłości mam prowadzić jego dom i rodzic

jego dzieci, ani razu nie zapytał mnie, jak ja wyobrażam sobie wspólne życie. I zamiast mnie wspierać podczas pogrzebu *maman*, poszedł na urodziny przyjaciela. Właściwie to wcale nie paliłam się do ślubu, ale nie chciałam rozczarować *maman*. Tak bardzo marzyła, żebym znów miała u boku kogoś, kto się mną zaopiekuje po tym, co... Wiesz przecież, po tym, co się stało z tatą i Pierre'em... – Zagryzła dolną wargę i zamilkła. Duszką opróżniła filiżankę, jakby chciała utopić wszystkie smutne wspomnienia naraz.

– Albert odziedziczył ogromny majątek – dała pod rozwagę Marie i zamoczyła ciastko w herbacie, błędząc gdzieś myślami.

– Jego pieniądze nie mają dla mnie znaczenia – odparła Célestine. – Jaką mają wartość, skoro mnie nie kochał? Upatrywał we mnie wyłącznie trofeum, coś, czym mógł się pochwalić... Jak nowym peugeotem dwieście dwa.

Marie, przeżuwając miękkie ciastko, z dezaprobatą pokręciła głową.

– Célestine, najważniejsze dla nas, kobiet, jest przecież to, żeby znaleźć żywiciela. W każdym razie ja mogłabym na niejedno przyknać oko, jeśli mężczyzna miałby pieniądze. Ale nigdy nie znalazłam takiego na tej mojej wsi zabitej deskami. Między innymi dlatego przyjechałam do Paryża. Wojna zabrała wielu mężczyzn, wybór jest ograniczony.

– Nikt nie będzie mi mówił, jak mam żyć. Wolę być sama – oznajmiła ze zdecydowaniem Célestine.

– Poczekaj, aż spotkasz tego właściwego, wtedy zmienisz zdanie. – Marie zebrała naczynia, zniosła je do zlewozmywaka, wyspała do niego łyżkę sody i zalała gorącą wodą. Célestine nie chciała ciągnąć rozmowy. Nie miała ochoty wdawać się w spory pierwszego dnia w Paryżu. Najwyraźniej ona i przyjaciółka miały rozbieżne wyobrażenia na temat tego, jakie cechy powinien posiadać mężczyzna. Sięgnęła po ścierkę w kratę i wytarła talerze oraz filiżanki.

– Może zrobimy coś wspólnie? – zaproponowała Marie. – Muszę być w pracy dopiero o czwartej. Na co miałabyś ochotę?

– Najpierw chciałabym wysłać telegram do wuja i ciotki z informacją, że szczęśliwie dojechałam. A potem? Sama nie wiem...

– A więc co ty na to, żebyśmy wybrały się do domu towarowego Lafayette i poprosiły ekspedientkę, żeby pokazała nam najnowsze modele pończoch? Jeśli w drodze nie będziemy przystawały przed każdą witryną, to w kwadrans dotrzemy na boulevard Haussmann.

Po tym, jak Célestine nadała telegram w urzędzie pocztowym, razem z Marie poszły na plac de Clichy, na środku którego, na kamiennym cokole, stała grupa figur wykonanych z brązu. W tym miejscu zbiegało się pięć ulic, więc tuż obok bez ustanku przemykały auta, motorowery i rowery. Wśród pojazdów wlokła się furmanka. Woźnica w jednej ręce trzymał cugle, a w drugiej – papierosa. Célestine z wahaniem zatrzymała się na krawężniku i chwyciła dłoń Marie, szukając pomocy. Razem poczekały, aż stojący na podeście policjant stanowczym gestem zatrzyma ruch i pozwoli pieszym przekroczyć ulicę. Gdy przechodziły na drugą stronę boulevard de Batignolles, funkcjonariusz gwizdnął za nimi, a Marie w odpowiedzi radośnie mu pomachała.

– Nie masz się czego obawiać, *ma chère*. W pierwszych dniach spędzonych w tym mieście też się bałam przejść na drugą stronę. Wierz mi, szybko przyzwyczaisz się do ruchu ulicznego – obiecała. Célestine żywiła nadzieję, że przyjaciółka będzie miała rację.

Zimny jesienny wiatr owionął ich twarze, sprawiając, że dziewczęta przeszły dreszcz. Na rue de Clichy przyspieszyły kroku. Przed jednym ze sklepów na rogu rue de Milan stała kolejka ludzi chcących wymienić kartki żywnościowe na masło, mleko, olej, makaron, kawę, cukier i mąkę. Były to podstawowe artykuły spożywcze, które nadal, dwa lata po wycofaniu się Niemców, racjonowano. Jakież to było błogosławieństwo, że wuj i ciotka wciąż prowadzili w Genêts sklep wielobranżowy należący niegdyś do jej dziadków, pomyślała

z wdzięcznością i nostalgią Célestine. Dzięki niemu podczas wojny rodzina miała pod dostatkiem jedzenia, w przeciwieństwie do wielu innych ludzi, po których i dziś z daleka widać było niedostatek.

Ze zdziwieniem doszła do wniosku, że wiele osób wokół niej było bardzo dobrze ubranych. Spodziewała się, że paryżanie będą nosili inny rodzaj garderoby niż mieszkańcy normandzkich wiosek na wybrzeżu, mimo to zaskoczyła ją elegancja, którą ujrzała. A to dlatego, że od początku wojny we wrześniu 1939 roku w całej Francji brakowało nie tylko pożywienia, lecz także materiałów. Wyrafinowane stroje oraz zadawanie szyku i tak odgrywało mniejszą rolę w mieście niż na wsi, więc stare wojskowe płaszcze często przerabiano na kostiumy, garnitury na spódnice, a kamizelki na czapki. Jej matka również sama szyla dla siebie skromne sukienki, ale używała do tego wyłącznie szlachetnych materiałów i zawsze zwracała uwagę na dobry krój. Ojciec jej najstarszej przyjaciółki handlował sukniem, dzięki czemu Laurianne Dufour miała dostęp do resztek najwyższej jakości, z których mogła coś wyczarować.

Niektórzy paryscy spacerowicze, których napotkała Célestine, z pewnością musieli wydać majątek na to, jak wyglądali. Starannie pomalowane i ufryzowane kobiety dumnie kroczyły po chodnikach w butach na wysokich obcasach, w obszytych futrem płaszczach i z kolorystycznie dopasowanymi torebkami. Towarzyszący im mężczyźni ubrani byli w sięgające kolan palta z najdelikatniejszej wełny, a dopełnienie ich garderoby stanowiły kapelusze z szerokimi rondami oraz skórzane rękawiczki. Jak dotąd Célestine widziała takie obrazki jedynie z daleka, gdy bogaci ludzie z miasta latem przyjeżdżali na normandzkie wybrzeże.

Jednak poza pięknem jej uwagę przykuwała także bieda. Co i rusz dostrzegała mężczyzn i kobiety w obdartych kurtkach, dziurawych butach, o bladej skórze. Na ich twarzach malowały się głód i cierpienie, z którymi nie uporali się jeszcze od zakończenia wojny. Ludzie ci chodzili zgarbieni i prawie nie podnosili wzroku.

Pewna młoda kobieta o zmęczonych oczach i z opadającymi na czoło kosmykami włosów wystającymi spod zacerowanej chustki ciągnęła za rękę małego chłopczyka. Dziecko ciągle kaszłało i wycierało nos rękawem. Czy była to jedna z tych młodych kobiet, którym po wymarszu okupantów ogolono głowy i które prowadzono ulicami Paryża? Czy jej przewinienie polegało na tym, że zakochała się w niemieckim żołnierzu i się z nim zadawała? Célestine bardzo dobrze pamiętała publikowane w gazetach zdjęcia, które oglądała z wściekłością w sercu i ze łzami w oczach. Od tamtego czasu mi-  
nęły niespełna dwa lata.

Pod kioskiem stała grupa weteranów wojennych. Jeden z mężczyzn nie miał nogi, inny – ręki. Żołnierz z przepaską na oku wziął solidny łyk piwa i podał butelkę kompanom. Nagle oczyma wyobraźni Célestine zobaczyła dwóch mężczyzn w mundurach – pierwszy z nich miał dopiero dwadzieścia lat, drugi był dwa razy starszy. Pomachali do niej radośnie, a potem oddalili się, z plecakami na ramionach, aż osnuła ich mgła i zniknęli w nicości...

– Jesteśmy na miejscu. – Słowa Marie zmusiły ją do powrotu do rzeczywistości. Z trudem udało jej się stłumić napływające do oczu łzy. Nie, nie będzie myślała o przeszłości. Była w Paryżu i właśnie rozpoczynała nowy etap życia.

Z walącym sercem Célestine przeszła przez wysokie szklane drzwi, za którymi ubrany w ciemnoszarą liberię portier witał klientów i wskazywał im drogę do konkretnych działów. Zaparło jej dech w piersi. Nagle znalazła się w świetle, który nie miał nic wspólnego z tym na zewnątrz. Nigdy wcześniej nie przekroczyła progu budynku o tak gigantycznych rozmiarach, nigdy nie widziała takiego przepychu.

Całe wnętrze utrzymane było w kolorach piaskowca oraz złota, a wysokie kolumny i rozpięte ponad nimi łuki przypominały salę teatralną. Jednak ludzie stojący za balustradami nie oglądali przedstawienia, lecz w pośpiechu żwawo się uwijali, dokonując zakupów.

Célestine powędrowała wzrokiem przez trzy piętra, aż do wysokiej szklanej kopuły, przez którą wpadało bladoniebieskie światło dzienne. W blasku setek, jeśli nie tysiąca żarówek ta świątynia luksusu i zbytku promieniowała jasnym, ciepłym płomieniem.

– Czy to nie jest fantastyczne miejsce? Pojedźmy windą aż na samą górę! A na dół zejdziemy po schodach – zaproponowała Marie i zdecydowanym ruchem chwyciła przyjaciółkę za rękę, po czym pociągnęła ją za sobą.

Odkrywały piętro po piętrze. Różne działy podzielono na wiele pojedynczych sklepów, a każdy z nich był wyposażony w regały, szafki z szufladami, lustra w złotych ramach i ozdoby z kwiatów. Célestine miała wrażenie, jakby podróżowała dookoła świata. Nie mogła się napatrzeć na filigranową chińską porcelanę w niebieskie smoki i ptaki, na przepięknie kolorowe orientalne dywany, poprutekany złotą nitką batyst z Indii, ręcznie plecione kapelusze z Ameryki Południowej i najznakomitsze rękawiczki z włoskiej skóry z jelenia. W szklanych witrynach o miano najbardziej błyszczącego precjoza rywalizowały ze sobą diamentowe kolie, srebrne imbryki i ramki na zdjęcia.

Po szerokich schodach zeszyły na drugie piętro. Marie bez zastanowienia udała się do działu z pończochami. Célestine była zdumiona cierpliwością, z jaką drobna piegowata sprzedawczyni – niewiele starsza od niej – otwierała po kolei każdą szufladę i prezentowała im coraz to inną parę. Przecież nie wyglądały jak majątne klientki. Już na pierwszy rzut oka ich toporne zimowe płaszcze zdradzały, kim naprawdę były – dwiema niezamożnymi dziewczętami z prowincji. Célestine z wielkim namaszczeniem nasunęła na dłoń delikatną jak mgiełka nylonową pończochę i podziwiała szew cienki niczym pociągnięcie piórem.

– Oczywiście oferujemy też repasację, w razie gdyby zdarzył się paniom wypadek – wyjaśniła sprzedawczyni z czarującym uśmiechem i życzliwym spojrzeniem.

– Bardzo dziękujemy, mademoiselle. Moja przyjaciółka i ja musimy najpierw się naradzić, czy kupimy pończochy w kolorze perłowym czy szampańskim – oznajmiła Marie ze śmiertelnie poważną miną i ukradkiem uszczypnęła Célestine w ramię.

– Ale przecież nie stać nas na nie – odparła z przerażeniem Célestine, gdy tylko odeszły na tyle daleko, że sprzedawczynie ich nie słyszała.

– Oczywiście, że nie. To tylko przekomarzanie się. Chodzi o to, by udawać, że mamy do dyspozycji fortunę. I kto wie, jeśli uda nam się znaleźć mężczyzn naszych marzeń, to może będzie nas stać na tuziny takich pończoch?

Z pewną satysfakcją Célestine pomyślała o tym, że ledwie przed tygodniem rzuciła pierścionek zaręczynowy pod nogi człowieka, którego inne kobiety z pewnością określiłyby mężczyzną marzeń. Człowieka, który pewnego popołudnia powalił ją na podłogę kuchni, żeby wziąć to, co w jego opinii należało się mężowi. Twierdził, że od dawna byłiby już małżeństwem, gdyby matka Célestine swoją śmiercią nie zrujnowała, jak to określił, ich ślubu. Jednak Célestine udaremniła jego zamiary, z całej siły gryząc go w dłoń. Na szczęście teraz Albert był daleko i pierwszego dnia w Paryżu nie chciała popadać w melancholię. Z wielką chęcią pozwoliła więc Marie zdecydować, jak horrendalnie drogie, ale tym piękniejsze rzeczy powinny jeszcze obejrzeć.

Niedługo później w głowie kręciło jej się od niezliczonych futrzanych etoli, skórzanych akcesoriów podróжных i kryształowych żyrandoli, wiaderek do szampana i truflii. W dziale z perfumami na regałach mieniły się szklane buteleczki w finezyjnych kształtach, a wymyślne oświetlenie sprawiało, że każdy flakonik wyglądał jak wyszukane dzieło sztuki. Pomocne sprzedawczynie skrapiały nadgarstki dziewcząt najnowszymi zapachami sezonu. Célestine z fascynacją wdychała esencje mające wdech kwiatowymi czy też pikantnymi nutami.

Po przeszło czterech godzinach oglądania i podziwiania czuła się oszołomiona i z trudem wytrzymywała ból stóp. Cieszyła się, gdy w końcu ruszyły w drogę powrotną do domu. Mnogość wrażeń sprawiła, że czuła się wyczerpana. Z kolei Marie wydawała się nad wyraz radosna i wzięła przyjaciółkę pod rękę.

– Z tobą u boku chodzenie po sklepach sprawia jeszcze więcej frajdy, Célestine. Następnym razem wybierzemy się do Printemps, to tylko kilka kroków od galerii Lafayette. A potem do Bon Marché na lewym brzegu Sekwany, to najstarszy dom towarowy w Paryżu. W dziale obuwia pracuje niesłychanie szarmancki sprzedawca. Po-tem koniecznie musimy pójść do Samaritaine...

– Marie, dość. Już teraz całkiem kręci mi się w głowie! Poza tym planuję zostać w Paryżu na dłużej. Domy towarowe nie uciekną.